

Wiesław Godzic

DZIENNIKARZ Z UKRYTĄ KAMERA

Dziennikarz nie jest błaznem, nie jest kaznodzieją, nie jest nauczycielem i nie jest zwykłym dostarczycielem informacji. Może być każdą z tych postaci albo wszystkimi naraz.

Czy można przejechać przez skrzyżowanie, na którym świeci się czerwone światło dla naszego kierunku? Oczywiście nie – to wykroczenie: nie dość że podlegamy karze, to narażamy siebie i innych użytkowników na groźną kolizję, chyba że poruszamy się pojazdem uprzywilejowanym i zachowamy szczególną ostrożność. Albo znajdujemy się w stanie wyższej konieczności: np. wieziemy ofiarę wypadku. Wtedy policja może nas wprawdzie ukarać, ale zdarzyć się może, że dzięki jej pomocy szybko dotrzemy do szpitala – to wszystko zależy od oceny dokonanej przez stróża prawa. A czy możemy przejechać na czerwonym dlatego, że bardzo, bardzo się śpieszymy albo od tych kilku minut zależy duży zarobek, albo z jakiś powodów sądzimy, że przepisy ruchu drogowego nas nie dotyczą? We wszystkich takich przypadkach ocena zachowań wydaje się niezmiennie negatywna. Zastanawiając się nad wykorzystaniem opisu tej sytuacji do dziennikarstwa prowokacyjnego, napotykamy znacznie więcej rozmytych granic i ocen wymagających oświetlenia z bardzo wielu stron.

Temat nie jest zupełnie nowy, ale pod koniec 2006 r., ze sprawą wyemitowanych przez *Teraz my* (TVN) nagrań negocjacji Renaty Beger z Adamem Lipińskim, prezentuje się zupełnie inaczej niż 10 lat temu. W brytyjskiej tradycji regulacji dotyczących zawodu dziennikarskiego bardzo ważne było orzecznictwo Press Council, przekształconej w 1991 r. w PCC – Press Complaints Commission. Polskie podręczniki dziennikarstwa do niedawna nie zawierały haseł „dziennikarstwo śledcze” ani tym bardziej „prowokacyjne”. Dopiero w 2005 r. Agnieszka Kwaslgruch i Edward Miłkołajczyk zebrali interesujący materiał na ten temat i pokrewne w książeczce Biura Programowego TVP zatytułowanej „Czy wolno”.

W światowych definicjach przewijają się dwa wątki: używanie kłamstwa po to, żeby dojść do prawdy oraz określenie interesu publicznego. Brytyjczycy nie mają wątpliwości: dziennikarz nie powinien z zasady uzyskiwać (ani starać się uzyskać) informacji lub obrazów poprzez podszywanie się pod kogoś innego albo okłamywanie. W tym samym paragrafie dodają jednak: wprowadzanie w błąd może być uzasadnione tylko wtedy, gdy działa się w interesie publicznym, a materiał nie może być uzyskany innymi metodami. „Zasady dziennikarskiej etyki TVP S.A.” formułują zastrzeżenia w podobny sposób: „Niedopuszczalne posługiwanie się metodami moralnie naganymi, takimi jak wprowadzanie rozmówcy w błąd, podszywanie się pod inne osoby, ukrywanie rzeczywistego charakteru nagrywanej rozmowy, a także molestowanie lub zastraszanie. Jedyne wyjątek może stanowić działanie w imię wyższego interesu publicznego, gdy uzyskanie ważnej informacji w inny sposób jest niemożliwe (...)”. Dalej „Zasady” mówią o konieczności uzyskania zgody przełożonego oraz przestrzegają przed możliwym konfliktem z prawem do prywatności.

Kodeks PCC posuwa się dalej i próbuje określić pojęcie „interesu publicznego”. Przede wszystkim nie jest to „wszystko to, co interesuje publiczność” – jak wydaje się wielu redaktorom

tabloidów. Chodzi natomiast o sytuacje, w których odkrywa się (lub wskazuje na) przestępstwa i występki, gdy chroni się zdrowie publiczne i bezpieczeństwo, gdy dziennikarz zabezpiecza publiczność przed fałszywymi stwierdzeniami lub działaniami osób i organizacji (przy czym Polacy skrywają się dodatkowo za „wyższym” interesem publicznym).

Kodeksy nie są od tego, żeby pisać o szczególnych przypadkach, a takie na ogół dotyczą naszej codzienności. Nie próbują, między innymi, oceniać intencji dziennikarzy decydujących się na taki krok ani możliwych konsekwencji dla wszystkich stron. A jest się nad czym zastanawiać.

Brytyjczycy (jeszcze bardziej niż dzisiejsi Polacy w sprawie „Taśm prawdy”) byli podzieleni, gdy Mazher Mashood, dziennikarz „News of the Word”, przebrał się za szejka i w marcu 2001 r. przeprowadził wywiad z Sophie, księżniczką Wessex. Księżniczka opowiadała niepochlebne rzeczy o niektórych członkach rodziny królewskiej, ale nie to było najważniejsze dla czytelników. Okazało się, że Sophie zatarła granice między interesem prywatnym a tym, który wiązał się z rodziną królewską. Księżniczka w dodatku nie widziała niestosowności w wykorzystywaniu statusu społecznego do promowania jak najbardziej prywatnego przedsięwzięcia. Potem rozpętała się burza, w której ucierpiała zarówno rodzina królewska, jak i wiarygodność gazety. Czy mimo to zyskać mogli czytelnicy i „interes publiczny”? Wielu obserwatorów tak właśnie sądzi.

My wprawdzie nie mamy kłopotów z rodziną królewską, ale dzięki Ewie Wanat i Maciejowi Gorzelińskiemu w 1994 r. wkroczyliśmy do rodziny demokracji używających „deceptive journalism”, dziennikarstwa prowokacyjnego (Małgorzata Wyszyńska w „Pressie” nr 1 z 2005 r. udokumentowała to zjawisko w Polsce). Wanat i Gorzeliński skradli na niby samochód i długo jeździli nim po Poznaniu pod nosem patroli policyjnych. Przypadek ten obnażył małą sprawność służb i liczne niedociągnięcia w zarządzaniu. Czy można było w inny sposób udowodnić tę tezę? Odpowiedź negatywna stanowi w tym przypadku warunek legitymizowania prowokacji. Teoretycznie tak – i ma na to dowody zdecydowana większość tych, którym skradziono radio samochodowe i otrzymali po pewnym czasie zawiadomienie o umorzeniu postępowania.

Po tym zdarzeniu posypały się inne prowokacje. Grzegorz Kuczek (TVN) i Igor Ryciak („Newsweek”) zakupili na bazarze fałszywe dokumenty i używali ich swobodnie zakładając konto, kupując na raty drogi sprzęt i wypożyczając samochody. Dziennikarze „Super Expressu” zakupili w 1995 r. sporą ilość dynamitu, TVN wprowadził fałszywego piekarza, który wręczył łapówkę prokuratorowi. Zdemaskowano w ten sposób lekarza wystawiającego fałszywe zaświadczenia, a dziennikarze udowodnili, że system ochrony polskich lotnisk i obiektów PKP jest nieszczelny. I tak dalej, i tak dalej, niestety.

Takie działania wydają się bez wątpliwości spełniać kryteria wymieniane w kodeksach dziennikarskich. Jeśli policja uległa korupcji lub po prostu nie jest sprawna, to trzeba to wykazać i zmusić ją do działania – bez dwóch słów. Dziennikarze na ogół mieli nieprzyjemności ze strony policji, a nawet doprowadzono do procesów sądowych. W większości przypadków czują jednak silne społeczne poparcie i otrzymują nagrody branżowe – wiedzą, że stoją za nimi czytelnicy, widzowie i koledzy. A telewizyjne programy śledcze z gatunku dziennikarstwa prowokacyjnego mają coraz wyższe stępki oglądalności. Dobrymi przykładami są *Uwaga* TVN-u i *Interwencja* Polsatu zgrabnie balansujące na cienkiej linii oddzielającej interes publiczny od tabloidowej sensacji.

W tym kontekście „Beger-gate” (lub Kuchciński, rzadziej Mojzesowicz) wygląda dość niewinnie i może być bez obaw zaakceptowana jako gatunek prowokacyjny.

Show – pamiętajmy, że projekcja filmu z ukrytej kamery była składnikiem większej całości, a to bardzo ważne – zaczął się niewinnie i zabawnie (jego uczestnicy wielokrotnie dawali do zrozumienia, że takiej atmosfery się spodziewali) pytaniem: ile kosztuje dzisiaj poseł? Następnie zobaczyliśmy umiejętnie zrytmizowane nagrane głosy, a potem głosy i obrazy. Uczestnicy audycji,

politycy różnych partii, mieli nieskrępowaną swobodę wypowiedzenia się o podsłuchanych rozmowach: korzystali z tego z rozmysłem, byli skupieni. Dawno telewizyjnie nie widział tak autentycznie poważnie zachowujących się polityków. Ogromne emocje i załamanie głosu Komorowskiego, surowość i pryncypialność na twarzy Sowińskiego i kompletne zagubienie oraz zupełny chaos w głowie i na twarzy przedstawiciela PiS-u. Politycy stali się na powrót ludźmi, wyszli ze swoich PR-owych formuł i odkryli twarz raczej zaskoczonych i cierpiących niż sfrustrowanych i agresywnych. Nienaturalnie i sztywno zachowywała się wyłącznie Renata Beger, aktorka podsłuchiwanej rozmowy.

Czy to fragment politycznego *Big Brother*a? Tak, jak najbardziej! Ale też realizatorzy pokazali najlepszą cechę i odsłonę tego *reality show* – duży kawał autentycznych zachowań w oceanie symulacji i gry pozorów, jaka jest serwowana na co dzień. Czasem program warto obejrzeć tylko dla jednej sceny – i to jest ten przypadek. Dziennikarze stworzyli intrygujące przedstawienie na żywym i prawdziwym materiale rzeczywistości – i chwala im za to. Wdzięczność powinna pochodzić od wyborców i wszystkich polityków – bo jesteśmy przekonani, że przynajmniej przez jakiś czas zapomną o takich rozmowach.

Ale w tym momencie wchodzi polityka (zakładam, że nie weszła brutalnie wcześniej, ale jeszcze nikt tego nie dowiódł) i zaczynają się pytania: komu to służy i kto za tym stoi. Nie mnie odpowiadać na nie. Ale moją rolą jest zwrócenie uwagi na trzy elementy silnie związane z tym zdarzeniem. Ponieważ przewiduję świetlaną przyszłość tego podgatunku, zastanówmy się nad następującymi kwestiami.

Po pierwsze, specyfika znaczenia telewizyjnego jest taka, że silnie wyrażana jest przewaga tego, co społeczne nad tym, co indywidualne. Potwierdzają to m.in. cała tradycja brytyjskiej szkoły kulturologicznej oraz wiele badań etnografii odbioru. Wynika z nich taki oto fakt: największy wpływ na tworzenie znaczenia w umyśle odbiorcy mają stereotypowe przekonania o wiarygodności medium, następnie stacji nadawczej i konkretnego programu. To zaś, co powie dziennikarz (i w jaki sposób tego dokona) ma – niestety – rangę drugorzędną. Co więcej: ocena faktycznych zachowań ekranowych jest przesłonięta jeszcze jednym filtrem – silnie zakorzenionymi sympatiami i antypatiami widza. Nie tylko w tym ostrym konflikcie, ale praktycznie zawsze cokolwiek powie Rokita jest uznawane przez zwolennika konkurencyjnej partii za niedorzeczne i kłamliwe. A Gosiewski – nawet jak mówi pięknie, logicznie i mądrze – nie przebiję się do przeciwnika. Bo jest Gosiewskim, a ten, to wiadomo... Smutne to, ale najczęściej tak się dzieje. Zaś uświadomienie sobie tej sytuacji stanowi pierwszy krok na drodze do nowego dziennikarstwa przyszłości, o którym trzeba kiedyś bez inwektyw porozmawiać.

Po drugie, ten piękny i pożyteczny społecznie rezultat pracy dziennikarza z ukrytą kamerą może być nadszarpnięty albo zniweczony przez naszą przyszłość za zakrętem (jeśli nie wszechogarniającą rzeczywistość), czyli kulturę tabloidową. Istnieje historyczny podział na dwa typy programów operujących taką techniką: *Crime Watch UK* jest poważnym programem, funkcjonującym w interesie oglądającej publiczności, zaś *True Crimes* liczy tylko na to, że wzbudzi zainteresowanie widzów ekscytującymi obrazami.

Pojawiające się zarzuty poszukiwania sensacji za wszelką cenę i tabloidyżacji w przypadku *Teraz My* wydają się jednak wyjątkowo nietrafione. Materiał stał się sensacyjny ze względu na wartość, a nie sposób jego prezentacji (zwracam uwagę na wolniejsze tempo niż w pozostałych *show* tego typu i możliwość swobodniej wypowiedzi). Jego celem była krytyka zachowań polityków w imię wartości wyższych, a to nie jest specyficzne dla tabloidowej kultury. A przede wszystkim bezwzględna cechą tabloidów jest uznanie „dziwnego za normalne, banalnego za dziwaczne – udziwnianie normalnego i jednoczesne banalizowanie dziwaczного”. W tym przypadku jednak

zobaczyliśmy coś zgoła innego: kawałek „rzeczywistości jako takiej”, w jakiej żyją rządzący dzisiaj politycy. Działania według nich normalne i banalne zobaczyliśmy jako zwyczajne i powszechne. I tylko tyle – żadnego udziwniania i ekscytacji.

Dziennikarz istotnie nie jest „zwolniony z myślenia nad tym, co robi”. Ale jednocześnie ten słuszny postulat nie może mu zabraniać używać metod prowokacji. Dziennikarz i każdy twórca w bardzo szczególnym zakresie – coraz mniejszym z upływem czasu – odpowiadają za społeczne (także polityczne) życie ich utworów. Wykonujemy rzeczy tak, jak umiemy najlepiej – ale mamy wpływ mamy na to, jak nasza praca zostanie użyta.

Po trzecie, dziennikarstwo prowokacyjne nie wzięło się znikąd, a dziennikarz czuje wokół siebie tłum innych osobników z kamerami. Oto licealiści biją kolegę na głównej ulicy Łodzi po to – takie mam przypuszczenie – żeby filmik z tego zdarzenia pokazał się w internecie, a ich nazwiska widniały na ekranie. Oto uczniowie molestują nauczyciela, ale bardzo dbają o techniczne warunki nagrywania – w pewnym sensie odgrywają scenę maltretowania nauczyciela bez zgody głównego aktora na takie zachowania.

Bo dziennikarz, ukrywający za połamami marynarki kamerę (albo w oprawie okularów – w droższej wersji), musi zdawać sobie sprawę, że jest małą częścią współczesnej kultury obrazu i prawni rządzących. A jest to zdecydowanie kultura transparencji: ukazywania i obnażania z pozwoleniem albo bez. Jej konsekwencją jest stworzenie klimatu dla zaniku przestrzeni intymnej na korytarzach publicznej, która także traci swoje „klasyczne” cechy. Program *America's Funniest Home Video*, emitowany w ABC począwszy od stycznia 1990 r. w sobotnie wieczory, rozpoczynał się sloganem: „America, America – this is you!”. Uznany został za „najbardziej demokratyczny show w telewizji”, ale także za „populistyczną rebelię zapakowaną jak program telewizyjny”. Podstawy tej rewolucji streszczały się w trzech elementach technologii nagrywania: kamkordery wideo, piloty bezprzewodowe, magnetowidy. To spowodowało, że stacje utraciły kontrolę nad programowaniem, a widzowie tworzyli własne ramówki. Od początku program cieszył się dużym zainteresowaniem: w ciągu kilku tygodni powstała setka fragmentów nagranych przez widzów. To moment przełomowy w telewizji, chociaż takie tendencje istniały dużo wcześniej.

Dobrym przykładem, uczącym pokory wobec historycznych modeli, jest dokument Richarda Cawstona z 1969 r. zrealizowany dla BBC, zatytułowany *The Royal Family*. Nikt wprawdzie nie przypuszczał, że film odkryje prawdziwe oblicze królowej, ale Brytyjczycy byli zaszokowani „zwyczajnymi” rozmowami królowej ze służbą, czy relacją z jazdy samochodem, prowadzoną przez królową. Tymczasem to wszystko było ustawiane, reżyserowane, czyli fikcyjne. Jednak nikt z otoczenia królowej, także producenci, nie przypuszczał, że można inaczej prezentować takie obrazy. 30 lat temu to był typowy dokument – klasowo świadomy, sympatyczny, nie szkodzący komukolwiek. Powstaje pytanie, jak w tym wszystkim ma znaleźć się dziennikarz.

Bo jest on niewątpliwie na pierwszej linii, na froncie, nawet wtedy, gdy relacjonuje zdarzenia pokojowe. Jest poddany silnej presji zdarzeń i równie silnemu naciskowi stereotypów. A te do niedawna pokazywały, że bohater filmu *Chłodnym okiem*, wzięty dziennikarz, przybywając jako pierwszy na miejsce wypadku, zaczyna od filmowania ciężko rannej ofiary wypadku. Jest cyniczny, znieczulony na cierpienia – podobnie jak jego koledzy z innych amerykańskich filmów lat 70. i 80.: *Network* czy *Broadcast News*, nie mówiąc o późniejszych obrazach opisujących producentów telewizyjnych realistycznych show.

Myślę, że nie pozostaje nic innego w najbliższej przyszłości, jak położyć ogromny nacisk na samoświadomość dziennikarskich decyzji. Zostawić spisane reguły w takim ogólnym stanie, w jakim one się teraz znajdują. Nie mnożyć pseudoprawideł i kodeksów: one najczęściej usypiając czujność, sprawiając wrażenie, że coś załatwiliśmy, skoro to napisaliśmy. Dziennikarz nie jest

błaznem, nie jest kaznodzieją, nie jest nauczycielem i nie jest zwykłym dostarczycielem informacji. Może być każdą z tych postaci albo wszystkimi naraz. W istocie jest „menedżerem” rozmaitych dyskursów, a jednocześnie postacią medialną. W każdym razie już teraz oświetlony jest częścią snopu światła, jakie pada na zdarzenia i osoby z pierwszych stron serwisów informacyjnych. Należy przekonywać go, że jego oświetlenie pochodzi na ogół z odbicia i że pełni rolę pomocnika i akuszerza zdarzeń – chyba ten warunek wydaje mi się najtrudniejszy do spełnienia w przeszłości, gdy patrzę na teraźniejszość.